

# PROMIEN

„I tyle tęcz zapalisz na swem niebie,  
Ileś za młodu życia wchłonął w siebie.“

Pismo wydawane przez kółka gimnazjalne w Ostrowie (Wlkp.)

Cena 20 gr.

Redaktor Stefan Wicherzycki. (kl. VIII.)

Rok I.

15. Lutego 1926.

Nr 8.



Niewiele gimnazjum w Polsce poszczycić się może wydawaniem własnego pisma. W rządzie tych nielicznych, średnich uczelni stoi nasze gimnazjum w Ostrowie, którego uczniowie bez cudzej pomocy, zaczęli wydawać pismo, stworzone własnym zapalem i pracą. Nasze pismo, jak to się w wielu podobnych wypadkach dzieje, nie upadło po pierwszym numerze, lecz rozwinęło się

i coraz szersze zajmuje kręgi. Mimo swego rozwoju Promień ciężkie walki musi staczać o swój byt. Winę tę ponosi wielu uczniów tutejszego gimnazjum, którzy pisma nie popierają, żalując 40 groszy miesięcznie na Promień. Odyby wszyscy uczniowie, których jest około 500 bez wyjątku Promień kupowali, to wtenczas nasze pi-

smo powiększyłoby swoją objętość i mogłoby walczyć o jedno z pierwszych miejsc w rządzie najlepszych pisemek gimnazjalnych. Trudno żądać, aby wszyscy kupowali Promień, bo niejednemu brak nawet tak małej kwoty, ale od wszystkich żądać można, by starali się powiększyć liczbę prenumeratorów. Niech każdy, kto może, bez wyjątku postara się chociaż-

by o jednego prenumeratora więcej, a wtenczas Promień, oparty na silnych i niewzruszonych podstawach będzie mógł ulepszać się tak wewnątrznie, jak i zewnątrznie i będzie mógł w przyszłości wychodzić w tak odświeżonej formie, jak Iskry. Koledzy, w Waszych rękach i w Waszym zapale leży przyszłość Promienia, a więc bez wahania podążcie mu z pomocą i popierajcie go wszędzie i wśród wszystkich.

Dla Promienia pracujcie wszyscy bez wyjątku.

## Redakcja.



### Z teki wzorowych wypracowań.

## Mowa hetmana Stanisława Żółkiewskiego do rycerstwa polskiego pod Cecorą.

Napisał Zd. Szafranek.



**W** słońcu jesiennem, w dymie i chmurach połyskują stalowe pan-cerze. Tętnią w saidaku do lotu strza-ly. Bulgar, Albańczyk, Turek szemrze modlitwę do Ałlacha, by ku większej jego chwale z dymem puszczać wioski i przeszywać strzałą serca polskich dzieci.

Nieprzyjaciel rzucił się z całą potęgą, usiłując rozerwać skute łańcuchami wozy. Przypadła horda do wozów i obuchami młotów kruszy łańcuchy. Berdysze tną spoidła sznurów. Lecz wozy skute żelazną wolą starego hetmana stawiają opór, jakby granitowe twierdze.

Ludzie złączeni w jedności, w posłuszeństwie, bezsenni, zgłodniali, przemokli, walczą — jak lwy. Z każdą godziną zwiększał się trud, olbrzymiał ciężar poświęcenia i zwiększał się ucisk.

Wróg lasy podpala. Wicher głównie w obóz miota. Wróg pali kępy, łąki, ścierniska i stogi zbóż. Dym wlecze się, ciężkimi zwojami nad ziemią. Promień słońca przebić go nie zdoła, a wiatr rozpuścić go nie może.

Jeżeli z pod dymu błysnie lazuruwa tafla wody, wnet w nią orda tyśiące koni wprowadza i w bagno strumień zamienia. Wszystkie mosty zerwane i groble zniszczone. Tylko wicher jesienny pędzi przed sobą dym i opustoszenie.

Nad taborem czuwa hetman, cichy, pokorny bohater. Czuwa za wszystkich. Idzie krwawym tropem bezsenny, spragniony, głodny. Pragnienie i głód męstwem nasycą. Brnie przez bajora, podpierając się mieczem.

Wojsko zmęczone trudem pochodów upada na duchu. Żołnierze wypowiadają posłuszeństwo wodzowi — nazywają go zdrajcą narodu.

Lecz wielki hetman tamuje słuszny swój gniew i tak się odzywa:

„Zstąp się i zrośnij w jedno polski duchu! Stań się moc nieugęta!”

„Nie jestem zdrajcą. Hetman polski, jest sługą narodu. Nigdzie na świecie nie było większej wierności dla Rzplitej, jak u nas. Prawe serce widać w niesplamionym honorze, w wielkim czynie! Żołnierze! Pogardzajcie nędznym bytem. Ducha waszego karmijcie wielkością służby Ojczyzny drogiej. Stańcie się olbrzymami. Dźwignijcie ramiona spiżowe, ku miłości kraju!

W piersi każdego z was niech bije pod pancerzem nieustraszone serce.

Jeżeli skonacie bez walki, kto sprawę dokończy? A wtenczas biada wam. Wielka sprawa rozprysnie się w piasek pustynny i rozprószy się w niziny zarosłe badyłami.

Kto w Boga wierzy i honor rycerski ma, za mną!”

Oblicza żołnierzy były blaskiem dziwnej siły. Z strudzonych piersi wydobył się okrzyk:

„Prowadź nas hetmanie!”

Jak straszny piorun z jasnego nieba pada rycerstwo polskie na ordę. Żołnierze to byli przywykli do bitew, mordy i krwi. Pod szalonym naporem cofali się Turcy. Pierzchali, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który uderzeniem klów zahija.

Zabrzmiały w powietrzu okrzyki przerażenia, kwik ranionych koni, a wszystko prawie przygluszał krzyk zabijanych wrogów, podobny do ryku rozwścieczonego niedźwiedzia.

Szczęk mieczów o miecze, trzask tarcz o tarcze, toporów o topory męszał jęki konających. Zdawało się że jakieś rozpętane moce piekielne tutaj harce wyprawiają.

Pod hetmanem padł koń. On straszny rozcinał z rozwagą i spokojem zbitą ciżbę. Wspierany przez syna Jana, zboczony krwią, walił wszystko w kolo siebie, jak burza niszczy krze i drzewa.

Liczba nieprzyjaciół stanęła ponad mnóstwo rycerzy polskich.

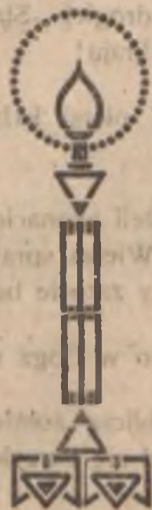
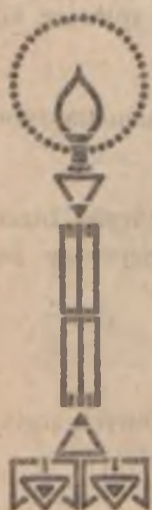
Prawie całe rycerstwo nasze z hetmanem Żółkiewskim na czele poległo.

Z smętnych kurhanów wznosił się zew pomsty:

„Ex ossibus nostris ultor orietur.“

Duch zwyciężył ciało. Materja zginęła.

W diademie jasnych promieni wyrosła postać o dostojnem czole hetmańskiem, oplecionem siwemi włosami. Majestat i piękno tej twarzy, tego orla kresowego uczy nas krwi ofiarnej i większej czci dla świętej przeszłości po wszystkie czasy.



# „Nie mam czasu!”

W życiu powszedniem używamy wiele zwrotów zupełnie zbytecznych. Zachodzi to zwłaszcza wtedy, gdy, mówiąc o rzeczach mniejszej wagi, nie namyślamy się nad treścią naszych słów. Zdarza się wtedy, że chcielibyśmy codopiero wypowiedziane cofnąć — unieważnić; ale to już za późno, bo słowo szybko ulatuje, chwytają je fale i przenoszą je do organu słuchowego drugiej osoby, jak fale na wodzie, w którą padł kamień, uderzają o brzeg. Czyż takim zwrotem, często przez naz używanym nie jest frazes: „Nie mam czasu!” Ileż to razy codziennie obija się on o nasze uszy! Nasuwa się pytanie, dlaczego tak często wymawiamy te słowa! Czy istotnie nie mamy czasu? Toć czas — to ten cenny materiał, z którego się nasze życie składa; powinniśmy go więc cenić! A z wielkim żalem stwierdzilibyśmy, / gdybyśmy mieli zdać

dokładnie z tego sprawę, w jaki sposób zużyliśmy nasz czas, że bardzo wiele tego czasu zmarnowaliśmy zupełnie albo też spędzili na blahostkach mało znaczących. Ludzie zasłużeni nigdy nie skarżyli się na brak czasu. Spójrzmy n. p. w życie J. I. Kraszewskiego; toć on napisał tyle dzieł, że przeciętny inteligent z trudem w swoim życiu je przeczyta. Pisał książki, a prócz tego dawał odpowiedzi na setki listów, z których uzbierałibyśmy z pewnością kilka tomów. Pracował przez całe życie bez wytchnienia, poświęcał wszystkie siły swoje dla narodu. Młodzież gimnazjalna uczy się dla siebie, by w przyszłości owoce nauki złożyć na ołtarzu ojczyzny. Czyż więc jeden z nas, mając w myśli tytaniczną pracę tego człowieka, może z czystym sumieniem powiedzieć: „nie mam czasu?” U nas to nie brak czasu, ale brak umiejętności rozkładania sobie tegoż. Zbyt wiele oddajemy się czynnościom niepotrzebnym, a na rzeczy poważne wreszcie nam go musi zabraknąć. W życiu tylko systematyczność może doprowadzić do celu wytkniętego. Reguła przy wszystkich czynnościach odgrywa tę samą rolę, co sprężyna w zegarze. Skoro więc będziemy systematycznie działać, nie będziemy naszego zaniedbania uniewinniać frazesem: „nie mam czasu,” a tem samem wyjdzie on z naszego użycia.



JEAN DE CARI.

# Redaktorski sen.

Nowelka.



Była już noc. Sławny koncert, sławnego chóru wreszcie skończył się i ludzie tłumnie opuszczali salę teatru. Pchali się, tłoczyli — każdy chciałby być pierwszym przy wyjściu. Fala wychodzących porwała ze sobą i redaktora, znanego, poczytnego organu młodzieży gimnazjalnej. Redaktorek czuł się zmęczonym i śpiącym. Ale świeże powietrze i dwukilometrowa droga do domu, naturalnie „per pedes apostolorum,” (choćby na marnego „Fordka“ redakcję nie stać. Cóż zrobić?) otrzeźwiły go zupełnie. Przyszedł do domu, rozebrał się i położył do łóżka. Ale nie miał bynajmniej zamiaru spać. Rozważał właśnie, czy lepiej nauczyć się fizyki na jutro, czy też czytać „Kryształowy korek“ Conan Doyle’a. W końcu skonstatował, że byłoby głupotą o godzinie dwunastej w nocy, nabijać sobie leb fizyką, i dlatego z zapalem oddał się czytaniu przygód Sherloka Holmesa. Czytał długo, aż rozgniewany Morfeusz\*) zamknął mu oczy, książkę wyrzucił z rąk na podłogę, i redaktorek zasnął snem sprawiedliwego. Bardzo się zdziwił, gdy obudzono go, aby szedł do gimnazjum. Niechętnie wstał; ciągle ziewając, zrobił poranną garderobę, i klnąc na wszystkich i wszystko, zjadł śniadanie i powłókł się do „kłapy.“ Czuł, że jest zupełnie nie wyspany, zmęczony; wogóle, że „jest do niczego.“ Ale najgorzej trapiła go myśl, że tej głupiej elektrostatyki nie umie zupełnie nic. A „nóż, widelec“ weźmie go i co? „Grunt niczem się nie przyjmować“ — pomyślał redaktorek. — Jakoś to będzie.\* Przyszedł z pewną miną do klasy i usiadł na swem miejscu. Wciąż jednak był senny. Pół drzemiąc, przepędził dwie lekcje. Trzecią była straszna fizyka. Co zrobić? Może się usprawiedliwić, że nie jest przygotowany? Ale „belfer“ nie uwzględni. Był przecież tydzień czasu do nauki, zanim zaczął pytać na noty.

Nie, tego nie można. Więc cóż zostaje? Może ból głowy?

Tak, ale tylko wczoraj; cały tydzień przecież był zdrow.

Wobec tego postanowił z rezygnacją oczekiwać losu

Siedział na lekcji smętny i ponury, podpartszy twarz rękami. Ale stopniowo pochylał się co raz więcej, więcej, wreszcie opadła mu głowa na ławkę i.... zasnął.

Spał smacznie i słodko snił:

\*) Bożek snu.

Oto jest lekcja fizyki. Profesor posyła go do sklepu, naprzeciw gimnazjum, aby kupił trochę soli, potrzebnej do doświadczenia. Redaktorek idzie, ale zamiast soli, kupuje cytryny. I zamiast iść do pobliskiego sklepu poszedł aż pod dworzec, i tam w wielkiej hurtowni owoców południowych, zapychał kieszenie cytrynami. Wracając spróbował jednej. Ale za ledwie ugryzł, krzyknął jak oparzony, i rzucił cytrynę na ziemię. Cytryna bowiem razila go jakby prądem elektrycznym.

— Co te małpy za cytryny mają — myślał redaktorek.

Znalazł się nagle w przejeżdżającym „taksisie“ i poczęstował piękną cytrynką szofera.

— Bardzo dobre, słodkie — zachwalał.

Szofer wziął, ale ledwo ugryzł, rzucił cytryną w redaktorka, i ze wściekłością zawołał:

— Co pan do stu djabłów, kpisz sobie z uczciwych ludzi, czy co?! —

— Ale panie, ja.... — bąkał biedny redaktor.

I w jakiś cudowny sposób znalazł się przed gimnazjum. Wszedł, ale zobaczywszy, że ma jeszcze dużo cytryn, rozciął jedną: w środku był kryształowy korek, z uśmiechniętą twarzą Cherloka. — A, a, a.... — zawołał redaktorek.

Ale korek znikł. — Może będzie jeszcze w tej — pomyślał, i rozciął trzecią. Ale cytryna była tylko cytryną.

— Może w w tej — i rozciął trzecią. Ale w tej była minjaturowa książeczka ze wszystkimi regułami fizyki.

— Ach! coś bajecznego — zawołał ucieszony redaktorek i chce wziąć cudowną książeczkę, ale i ta, i wszystkie cytryny gdzieś znikają, a redaktor ma puste kieszenie.

— Głupia granda! — myśli z oburzeniem.

Następnie idzie do klasy. Profesor pyta, kto chce być „na ochotnika“ pytanym. Wstaje dziesięciu, którzy byli pytani na poprzedniej lekcji.

— A, to mnie się podoba. Skoro się zgłaszacie, więc musicie dobrze umieć. Siadajcie. Daję wam bardzo dobrze. Kupileś soli — zwrócił się do redaktorka.

— Tak, tylko ten szofer, panie profesorze....

Nagle redaktor słyszy, jakby gdzieś z podziemi, swe nazwisko i czuje szturchnięcie kolegów.

— Co ty spisz? — zapytują.

— Dekarto! — krzyczy profesor. — Czy nie słyszysz? --

Redaktorek Dekarto niepewnie wychodzi z ławki i staje przed katedrą

— Powiedz mi... — rzecze profesor.

Ale w tejże chwili rozlega się zbawczy dzwonek.

— No, twoje szczęście, ale pojutrze będę się pytał — rzekł profesor.

\* \* \*

— Gdzie mi się podziała księżeczka z temi regułami i skrótem fizyki? — myślał Dakarto idąc do domu.

— Ach, przecież to mi się śniło — zaśmiał się wesoło.

Zupełnie już trzeźwy przyszedł do domu i z apetytem zabrał się do „wcinania.“

Kiedy po południu namyślał się co robić, wzrok jego padł na „Kryształowy korek.“ Chwycił książkę i wyrznął w ostatni kąt pokoju.

— Dość mam przez ciebie — syknął ze złością.

Przed wieczorem wpadło kilku kolegów i chcieli wyciągnąć go na przechadzkę. Ale Dekarto nawet nie przywitał się, tylko wciąż siedział pochylony nad stołem, szepcząc jakieś słowa.

Przekuwał się fizyką.

K O N I E C.





# DZIAŁ SPORTOWY

pod redakcją **Józefa Mertki.**

## Dzieje Sekcji Tennisowej „Venetii“

Rok 1925.

(Ciąg dalszy)

Następuje wreszcie przez wszystkich już z niecierpliwością oczekiwany „finał“ finału rozgrywek o mistrzostwo, czyli czwarte koło zrzędu. Fakt ten mówi aż nadto wymownie, że walki o tytuł mistrza były bardzo zacięte, i że każdy z triumwiratu był godny piastowania tak wielkiego zaszczytu. Wskutek bowiem tego, że żaden z zainteresowanej trójki nie zwyciężył w obu grach, co było „conditio sine qua non“ do osiągnięcia upragnionego celu, wytworzył się charakterystyczny objaw, bardzo rzadko spotykany w turniejach tenisowych, a pierwszy w historii Sekcji Tennisowej „Venetii,“ aż czterokrotne powtórzenie rozgrywek finałowych. Siłą rzeczy narzuca nam ono poprostu zdanie, że klasa wszystkich trzech rywali była wyrównana. I w tem właśnie należy upatrywać przyczynę, dla której tak długo i uporczywie prowadzono walkę o pierwsze miejsce.

Ale ad rem! W dwa dni po niefortunnej eskapadzie gnieźnieńskiej — o czem w jednym z najbliższych numerów, przyp. Red., — czyli we wtorek dnia 26. maja, odbyły się definitywne rozgrywki finałowe. Przygrywkę do nich jest interesujące spotkanie Kargla Edwarda z Domagałą Tadekiem. Więcej rutynowany Kargel po ładnej walce trzeci raz bije Tacka we finale, tym razem w dwóch setach 6:4 i 6:3.

Następna walka Kałwiński — Kargel była ze wszystkich dotychczasowych gier w rozgrywkach mistrzowskich bezprzecznie najciekawsza, najzaciętsza i najbardziej denerwująca. Dostarczyła ona dość licznej publiczności, składającej się z samej młodzieży gimnazjalnej, wiele emocyj sportowych. Wszyscy, którzy byli świadkami tego spotkania Gigantów tenisowych „Venetii,“ śledzili je z zapartym oddechem, radując się i smucąc zależnie od powodzenia lub niepowodzenia swego pupilka. Nie należy się zresztą z tego powodu dziwić, gdyż walczyły ze sobą o lepsze dwie najlepsze „rakiety“ Venetii. Kargel po raz trzeci staje już z jednym zwycięstwem w kieszeni do decydującej walki z drugim rywalem, kłóra ma przypięczetować jego mistrzostwo. Ale, jak to zwykle bywa, życie niezawsze idzie równoległe do życzeń ludzkich, czyli jak stare znane przysłowie mówi: „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.“

Pierwszą partję wygrywa wprawdzie Kałwiński Kazek, lecz z ledwością 9:7. Kar- natychmiast rewanżuje mu się ładną wygraną w stosunku 6:3. Trzecia partja „misterka“ miała przynieść rozstrzygnięcie. Białowłosy Kargel, zachęcany swoim co dopiero osiągniętym sukcesem nad sąsiadem, walczy wspaniale w trzecim secie, prowadzi już 5:2 i serwuje sethall, t. zn. ostatnią piłkę. Kazek odbija słabo piłkę, a Kargel najlepszym swoim smachem dosłownie „zakończy“ ją. Wszystkim zdaje się, że „comedia finita,“ i że symboliczny Kargelek został eo ipso mistrzem. Lecz okrutne orzeczenie sędziów rozwiło te przypuszczenia, albowiem piłka padła na szerokość dłoni od placu tenisowego. Ta nie- winna skądinąd piłka zaciążyła fatalnie na dalszej grze Kargla, a na Kałwińskiego podzia- łła niczem zimny prysznic. W tym ostatnim budzi się stary lew tenisowy. Jego du-

ma zeszłorocznego finalistę jest zadraśnięta na cieniuteńkim włosku wiszącą przegraną. Odtąd zmobilizował całą swą energję i rzucił ją na szalę. I to przechyliło zwycięstwo na jego stronę. Miał zresztą o tyle ułatwione zadanie, że Kargel był wyżej wspomnianym incydentem zupełnie skonsternowany i zaczął grać coraz bardziej nerwowo, co też ujemnie odbiło się na jego grze. Ten pamiętny „óut“ był kulminacyjnym punktem rozgrywek o mistrzostwo Sekcji Tennisowej „Venetii“ za 1925 rok. Od tej chwili Kazek nie pozwolił Karglowi przyjść do głosu. „Biedny“ Edward mimo najszczerzych chęci i nadludzkich prawie wysiłków nie mógł już zdobyć tylko jednego, zwycięskiego gamu, gdyż Kałwiński zupełnie opanował sytuację i grał... grał jak prawdziwy mistrz. Przed taką grą Kargel musiał achylić czoło i uznać się pobitym. Stosunek gier 7:5 dla Kazka.

„Enfin“ czwartek — 28. maj — przyniósł ostateczne rozstrzygnięcie. Zwycięski dnia poprzedniego Kałwiński nie pozwala wyrwać sobie z rąk ciężko wypracowanych laurów i zamyka swój triumfalny pochód dalszem zwycięstwem nad Domagałą Tadkiem. Walka ta była nader interesująca i godna finalistów. Mimo zaciętego oporu uległ Tadek Kazkowi w dwóch setach 7:5 i 6:3.

Tak oto opróżniony przez Mierzwiaka Władysława fotel mistrza Sekcji Tennisowej „Venetii“ zajął na przeciąg 1925 roku kol. Kałwiński, uczeń kl. VI. Wobec tego, że Kargel miał jedną wygraną z Domagałą Tadkiem, przypadło mu drugie miejsce w udziale, a Tadekowi trzecie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

*Robak.*



## KRONIKA.

### Wiadomości miejscowe.

Dnia 16 stycznia 1926 r. o godz. 4,30 odbyło się uroczyste otwarcie czytelnicy dla uczniów (od V — VIII kl.) gimnazjum ostrowskiego. Otwarcia dokonał p. prof. Dr. Eustachiewicz, zaznaczając w swej przemowie, jakie są cele założonej czytelnicy. Poczem oddał głos abiturjentowi Orłowskiemu, prezesowi „Tow. Tom. Zana,” które objęło nadzór i opiekę nad czytelnicy. Abiturjent Orłowski, w swej przemowie dziękował p. Dr. Eustachiewiczowi za pracę położoną około założenia czytelnicy i zaznaczył, jakie stanowisko powinno zająć czytelnicy w życiu gimnazjalnem. Z kolei zabrał głos p. prof. Orzywak, wypowiadając swe uznanie o założeniu czytelnicy. Przyrzekł, w końcu swego przemówienia że będzie dostarczał pewnych czasopism przyrodniczych. Abiturjent Ziembiewicz (stały

dyżurny) podziękował p. prof. Dr. Eustachiewiczowi za trud, p. prof. Grzywakowi za chęć wspierania czytelnicy, wreszcie p. p. prof. Stanisławowi Zbierskiemu, Rojowi, Cudnemu i postłowi p. Sikorze za łaskawe przybycie na otwarcie naszej nowej placówki. **ISTAO.**

Z wielką radością powitała młodzież nowopowstałą czytelnicy. W dniu otwarcia, sala fizyczna, miejsce umieszczenia czytelnicy, była zapełniona. Ławki z czasopismami i gramy były obsadzone. Czytelnicy jest otwarta w środy i soboty od godz. 5—7. Krótki to czas. Spodziewać się należy, że T. T. Z., widząc tak ogólne zainteresowanie, przedłuży, lub częściej otwierać ją będzie dla swych czytelników, którzy, stykając tu się częściej, a zarazem mając swobodę, zacieśniają między sobą węzły przyjaźni, powstałej na tle, czy to wzajemnych upodobań, już to, wspólnych gawęd, krytyk, lub debatów.

Dnia 20. I. 1926. „Kółko Historyczne im. R. Traugutta“ urządziło obchód w celu uczczenia setnej rocznicy zgonu St. Staszica. Kolega Józef Krupa wygłosił referat p. t. „Stanisław Staszic.“ Przedstawił zasługi i działalność tego wielkiego męża, któremu przez całe życie przyświecała idea: „Salus rei publicae, suprema lex esto!“

Na zebranie przybył opiekun, p. prof. St. Zbierski.

## Z Polski.

Na Górnym Śląsku wykopano szereg armat szwedzkich i wiele kości ludzkich.

Na uniwersytecie w Warszawie uczęszcza 7947 słuchaczy i słuchaczek.

W Polsce umiera 60 000 ludzi rocznie na suchoty.

Porucznik polski Waś, wynalazł odbiorczą stację radiową, którą można nosić na plecach.

## Ze świata.

Z okazji 70 rocznicy urodzin prof. Aleksanera Brücknera, który od 40 lat zajmuje katedrę filologii słowiańskiej na uniwersytecie berlińskim, prasa niemiecka zamieszcza dłuższe artykuły, wyrażając się z wielkiem uznaniem o działalności i pracy profesora Brücknera.

Ameryka wydaje rocznie na samochody 8 000 000 000 dolarów.

W Afryce odkryto dwa miasta zasypane piaskami.

W okolicy Paragwaju odkryto roślinę 200 razy słodsza od trzciny cukrowej. Listki starte zupełnie zastępują cukier.

Do Rzymu przybył z Konstantynopola Zero Aga, który liczy 150 lat życia.

Turcja zamierza przyjąć rachubę czasu wedle ery chrześcijańskiej.

Zeszłego roku Bułgaria obchodziła 1000 lecie zjednoczenia państwa.

## Dział rozrywek umysłowych

pod redakcją Sława.

Szara da (J. KRUPA).

Całe na cztery części się rozkłada;  
 Jeżeli chcesz zgadnąć taka moja rada:  
 Pierwszą wraz z drugą możesz znaleźć święcie  
 Wśród imion sławnych w starym testamencie.  
 Z pierwszą się trzecia w ciepłych krajach płeni —  
 I nawet smakosz potrawę z nich ceni;  
 Zaś pierwsze z czwartą — złane w jednym słowie —  
 Mieliśmy w Polsce z koroną na głowie.  
 Dalej — gdy druga z czwartą się dogoni,  
 Znajdziesz ją wszędzie u ludzi i koni,  
 A dwie ostatnie, gdy bez główki złożę,  
 Żyje to, lata i zranic cię może.

Wszystko nareszcie nazwiskiem jest miasta  
 Lecz w którym kraju — nie powiem i basta.

Odpowiedzi i rozwiązania w następnym numerze.

## O G Ł O S Z E N I A



### Uczeń kl. 8-mej

udziela lekcji matematyki w zakresie sześciu  
 klas gimnazjum.

Zgłoszenia do redakcji pod: „Matematyka”

### Udzielam lekcji

w zakresie pięciu klas gimnazjum.

Zgłoszenia do redakcji pod: „Ośmioklasista”

Adres redakcji — Stanisław Szyczewski, OSTRÓW (Wlkp.) Raszewska 26.